



## Stanisław Srokowski

## część III z VII

Sygnatura notacji: **N0344**

Data urodzenia: **29.06.1936 r.**

Data nagrania: **30.11.2022 r.**

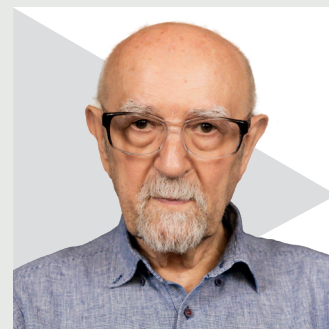
Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60min, część II: 58min, część III: 55min,  
część IV: 44min, część V: 60min, część VI: 50min,**

Format nagrania: **video** **część VII: 54min**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Stanisław Srokowski:** Kiedy napadli na tę wieś, ponieważ to była uroczystość, bardzo ważne święto, Polacy byli w domach, cieszyli się tą radością i nagle usłyszeli strzały i zobaczyli płonące pierwsze chaty na brzegu wsi. No to wtedy oczywiście, kto miał, chwycił za broń i zaczęli się odstrzeliwać. Ukraińcy nie byli na to przygotowani, że Polacy mają tę broń, bo wiedzieli, że Sowietom mają zabrać. W każdym razie, krótko mówiąc, Ukraińcy ponieśli tam duże straty, ale zginęło też chyba dwudziestu trzech albo dwudziestu pięciu Polaków. Z Hnilcza było widać to wszystko, tę wieś, tę płonącą wieś, bo to był rzut kamieniem. No więc wiadomo było, że to już koło nas. Jak Panowice się palą, to znaczy, że już stanie się to w Hnilczu. W Hnilczu ludzie są przerażeni oczywiście, szukają skrytek, schowków, bunkrów jakichś, ale gdzie tu się schować, mój Boże. Ten strach, o którym mówiłem, który panuje od 1939 roku tutaj, przybiera grozę przeraźliwą, już oblicze takie demoniczne, ponieważ zbrodnia już jest za naszą ścianą. Jest 16 sierpnia 1944 roku, nic się nie dzieje, Polacy są gotowi jak gdyby do tego, że zbrodnia się dokona, chociaż ta gotowość ma charakter taki porażający. Jak można być gotowym? Przecież nie uciekną, nie wyfruną, nie znikną. Ta gotowość polega na tym, że tylko wiedzą, że to się stanie.

**Artur Kłus:** A dochodziło do jakichś samoorganizacji?

**Stanisław Srokowski:** Jeszcze nie było samoorganizacji, ponieważ ta broń, która znajdowała się w oddziale AK, była w Panowicach. Tak że w Hnilczu tej broni już nie było. Nie było tej samoorganizacji we wsi już, tak. Mimo że ludzie należeli do AK, ale byli w oddziale panowickim i broń tam się znajdowała. Więc w momencie, kiedy tam był ten napad i ta broń się tam znajdowała, więc tej broni tutaj, w Hnilczu, o ile mam wiedzę na ten temat, to już nie było.

W każdym razie 16 sierpnia 1944 roku nic się nie dzieje, więc trochę odetchnęli, może nie dojdzie do mordy, może jednak zmienili plany, bo to blisko, może to, że zostali tam trochę poranieni i sporo ich padło trupem, to może nie dojdzie do mordowania. Taką mieliśmy nadzieję. Bo rzeczywiście tam ofiarą tego napadu ukraińskiego na Podhajce było bardzo wielu Ukraińców. Czyli 16 sierpnia nic się nie dzieje, odrobinę otuchy wpadło w serca polskie, jest 17 sierpnia 1944 roku i gdzieś tak w południe... moja mama była zaprzyjaźniona z Ukrainką, Olgą Misiurak, tak się nazywała jej przyjaciółka. Gdzieś tak w południe Olga Misiurak przychodzi do naszego domu, a to było sąsiednie gospodarstwo, przychodzi do naszego domu i mówi: „Mario, będzie napad tej nocy na was”. Czyli uprzedziła nas Ukrainka. Dobra, uczciwa, szlachetna Ukrainka. „Będzie napad, będą was mordować. Uciekajcie, schrońcie się gdzieś”. Ona to mówi w południe mniej więcej. Gdzie się można schronić w południe? Do Lwowa kawał drogi, do Podhajec kawał drogi. Lasy są pełne morderców, banderowców. Schronu żadnego nie wykopaliśmy. Bo zawsze to jest tak, że może jednak nie mordują, może jednak nie przyjdą, może się uniknie tego najgorszego. No i coś trzeba robić. Olga mówi: „Na pewno będą was mordować, będą palić, uciekajcie”. Mama mówi: „Nie mamy gdzie”. No to Olga się zastanawia. Mówi: „Poczekajcie, pójdę do domu”, dokładnie już opowiadam, „pójdę do domu, pogadam”. Wraca po chwili i mówi: „Ja was ukryję. Ukryję was w swojej stodole. Przygotuję wam taki bunkier w swojej stodole, ukryjecie się tam. Bądźcie przygotowani wieczorem, bo będą w nocy, przyjdą w nocy. Bądźcie przygotowani”. Matka powiedziała to ojcu, ojciec przekazał to dalej, tak że wieść już rozeszła się. Inni Ukraińcy też podobnie, zaprzyjaźnieni z Polakami, poinformowali innych Polaków, że to się stanie. Tak że ci, którzy byli poinformowani w pierwszym rzędzie, już szukali schronienia. Ci, co jeszcze nie wiedzieli, nie szukali schronienia, bo nie wiedzieli tego. Choć mogli być jak gdyby wyczuleni, bo zbrodnia szła. Kiedy zbliża się wieczór, moja matka, mój ojciec i ja, prowadzeni przez Olgę Misiurak, idziemy do jej stodoły. Ja już wtedy jestem chłopcem siedmioletnim, mam już pełniejszą wiedzę, więcej doświadczenia. Idziemy do ukraińskiej stodoły i ona nam pokazuje włącz od strony pola w tej stodole, kamień trzeba odsunąć i jest taki otwór, wchodzi się do tego włączu i tam jest przygotowana skrytka taka dla nas w tym stołku słomy. Wchodzimy do tej skrytki, z powrotem ojciec zaszuwa ten kamień no i czekamy. Jest późny wieczór. Mija godzina, mija druga godzina, nic się nie dzieje. I nagle zaczynają się strzały, słychać huk karabinów, szpary są widoczne, widać błyski. Zaczęło się. Zaczyna się palenie wsi, właśnie palenie. Idą od domu do domu i palą chatę po chacie. I to trwa całą noc. Oczywiście nie śpimy, ani ojciec, ani ja, ani matka. Ja dostaję gorączki, mimo że jest lato. Głowa mnie boli. Spowodowane tą atmosferą, tym strachem. Przecież mówi się: „będą mordować, będą zabijając, będą odcinać głowy, będą wydfubywać oczy”, to się mówi, to wszędzie to żyje, to wiadomo, to nie przyjdą i nie zastrzelą. Polacy na Kresach, kiedy Sowieci zabierali na Sybir Polaków, to Polacy, którzy doświadczyli już tej zbrodni ukraińskiej, mówili: „Może wam się uda ocaleć. Bo tutaj już nie ocalejemy”. Nawet bardzo często już potem mówiono, że mieliście szczęście, że pojechaliście na Sybir, bo was nie zamordowali. Takie okrutne, przerażające też. W każdym razie rano, jeszcze taki obrazek, że ten kamień był nie do końca zastonięty, że także szczelina była dość duża, i w pewnym momencie jakichś dwóch banderowców pojawiło się niedaleko stodoły, niedaleko tego miejsca, i widzieliśmy ich buty, widzieliśmy na tym poziomie ich rozmawiających z sobą. Mówili mniej więcej, bo to było nad ranem: „Już powoli będziemy kończyli”. Czyli wiedzieliśmy, że to już się zbliża do końca, ten mord. Po czym wypalili chyba papierosa i poszli dalej. W każdym razie, kiedy ucichły huki, strzały, głosy, a słyszeliśmy tylko, to trzeba dodać, straszliwy ryk zwierząt, ryk krów, straszliwe wycie zwierząt, to było tak przerażające, tak okrutne, tak nie do pojęcia, że zdawało się, że to w ogóle cały świat płonie, że tam się dzieją jakieś dantejskie sceny, ten ryk krów, tych cieląt, rzenie koni, koty, psy, tak jakby jakieś piekło się rozpętało na zewnątrz. I kiedy tato odsunął kamień i pierw-

szy wyszedł z tej naszej kryjówki, rozejrzał się, wysłuchał, czy tam jeszcze jakiegoś mordu się nie dokonuje, niczego takiego nie zauważył, wieś była opustoszała, kikuty tylko kominów, puste, spalone, cała wieś zrujnowana, cała wieś spalona. Dał nam sygnał, żebyśmy wyszli, ja zobaczyłem to samo, już jako siedmioletni chłopak zobaczyłem wieś, dużą, wielką wieś, która miała takie ukształtowanie, to była wieś, która miała swoje dzielnice. Była Szlachetczyzna, był Dolny Kąt i były tam jeszcze dwie dzielnice, i ona była tak ukształtowana, że pewna część znajdowała się na wzgórzu, a pewna część na dole, tak, że było widać prawie całą wieś, jak z lotu ptaka się patrzyło na nią. No to zobaczyłem to, to było straszne. Najbardziej przerażający był ten ryk, ten ryk zwierząt. Zobaczyliśmy wychylające się głowy, to tu, to tam, tam ktoś spojrział, tam ktoś podniósł rękę, tam ktoś wysunął głowę. Polacy zaczęli wydobywać już ze swoich skrytek, schronów, stądół jeżeli nie była spalona, na przykład koło ukraińskiej chaty była. Wieś była spalona. Ale mordów za dużo nie było. I to jest to, co chciałem zaakcentować. Zaledwie kilku Polaków zostało zabitych wtedy. Nawet nie zamordowanych, tylko zabitych z karabinu. Czyli ci, którzy dokonali mordu w Hnilczu, musieli wysłuchać apelu czy polecenia, czy rozkazu tych Ukraińców, którzy w Hnilczu podjęli tam decyzję: „Będziecie palić, będziecie grabić, będziecie zabierać dobytek”. I to się wszystko stało. Rzeczywiście te władze były wyładowane dobytkiem. To wszystko jeszcze nad ranem było widać Ukraińców, którzy z drugich wsi przyjeżdżali, zgrabili ten majątek. W ten sposób dokonana się zbrodnia na polskiej wsi Hnilcze. W sumie, gdyby podliczyć zamordowanych Polaków w tej wiosce, ale te mordy, jak mówiłem wcześniej, były pojedyncze, gdzieś tam w lesie, gdzieś tam na polu, gdzieś tam w innym miejscu, to w Hnilczu zginęło trzydziestu pięciu Polaków. Ale to jeszcze nie jest koniec mordów. Mimo że wieś spalona, mimo że masowego mordu tutaj nie ma, że są pojedyncze przypadki, to jednak jeszcze później będą mordy w tej wsi, ale zaraz o tym powiem, bo dotyczą one mojego dziadka Ignacego. Co ludzie robią? Skrzykują się. Co robimy? Mają jeszcze tu... Ten ma wóz, ten ma jeszcze konia niespalonego, ten ma krowy, ten ma coś tam. Skrzykują się no i trzeba uciekać, bo nie ma wyjścia. I następnego dnia, kto może, kto potrafi, kto ma siły, to albo na wozie, albo na jakimś wózku, który gdzieś tam ocalał, gromadzą się... A, jeszcze jedno, to jest bardzo ważne. Kiedy plonie polska wieś Hnilcze, a to trwa kilka godzin, ponieważ mord zaczyna się mniej więcej o godzinie 12:00 i trwa gdzieś tak do 6:00–7:00, czyli kilka godzin, sześć-siedem godzin, wieść o napadzie na Hnilcze dociera do istriebitielnego [likwidacyjnego, szturmowego] batalionu, którym kierują Sowieci. Istriebitielny batalion to były bataliony sowieckie, w których służyli także Polacy, na tym terenie, bo gdzie indziej także służyli Ukraińcy czasami albo inni ludzie, z innych narodowości. I kiedy ta informacja dotarła do tego istriebitielnego batalionu, to przywódca tego batalionu ruszył w stronę Hnilcza. I kiedy tylko mordercy, bandyci uciekali z Hnilcza w stronę lasu, ten oddział istriebitielnego batalionu sowieckiego z polskimi... tak że Polacy z Panowic, a także Polacy z innych wiosek wiedząc, że Hnilcze płonie, nad ranem w tę stronę wrócili się, żeby być bliżej, albo ratować, albo pomagać, albo dowiedzieć się przynajmniej. No i ten dowódca istriebitielnego batalionu dał rozkaz tym swoim podwładnym, żeby palić ukraińskie chaty. I w ten sposób dokonuje się jak gdyby drugi akt tutaj. Z jednej strony Ukraińcy wymordowali polską wieś, a istriebitielny batalion pali ukraińskie wioski. To te dwa ważne wydarzenia związane z Hnilczem. No później zaczyna się ta odprawa, która prowadzi do wyjazdu, do wychodztwa, do ucieczki z Hnilcza w stronę Podhajec. Podhajce to był powiat odległy od Hnilcze chyba 17 kilometrów, jeśli się nie mylę, a więc niedaleko, w ciągu kilku godzin tam się docierało, i ten oddział istriebitielnego batalionu towarzyszy Polakom wychodzącym z tej wsi. Jak gdyby wspomaga, ponieważ po drodze w lasach kryją się Ukraińcy, a trzeba przejść przez lasy. I dzięki temu, że ci uzbrojeni żołnierze z istriebitielnego batalionu odprowadzili mieszkańców wsi do Podhajec, grupa tych Polaków w całości dotarła na miejsce. Ale to nie koniec. Tam oczywiście zaczęło się parcelowanie po chatach, po izbach, po mieszka-

niach, to były najczęściej mieszkania żydowskie, pożydowskie, ponieważ Żydzi zostali wymordowani i wywiezieni z tych miejsc, tak że Żydów tam już nie było, i Polacy byli tam zakwaterowani w różnych miejscach, i my, moja mama, ja i ojciec, otrzymaliśmy takie dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, obok nas dziadek Ignacy i gdzieś tam trochę dalej dziadek Piotr.

**Artur Kłus:** Wy już z tymi żołnierzami wyruszyliście z wioski do Podhajec?

**Stanisław Srokowski:** Do Podhajec, tak. Tak, do Podhajec wyruszyliśmy, dzięki temu uratowana została... ponieważ gdybyśmy szli bez tej pomocy istriebitelnego batalionu, na pewno w lasach bylibyśmy dalej mordowani. Mój dziadek Ignacy, który mieszkał w lesie wcześniej, w Hnilczu, nie mógł się pogodzić z tym, że opuszcza własny dom, własną zagrodę, własną wieś. Był bardzo silnie powiązany ze swoją wsią, z rolnictwem, z lasem, był typowym leśnikiem, dla niego las to była miłość, to było wszystko, to było przywiązanie, to była historia, tradycja, wszystko. Tym bardziej, że był rzeźbiarzem, tak że tam miał cały materiał swój. Ale nie mógł sobie poradzić z miastem. Nie wiedział, jak sobie ułożyć życie w tym mieście. Obce, cudze, nie do istnienia, nie do życia. Powiedział, że on tu nie będzie. I że w ogóle dlaczego myśmy stamtąd wyszli, trzeba było poczekać jeszcze, może byśmy jakoś się odbudowali. „Tak czy inaczej, ja wracam”, powiedział. „Wracam”. I mój dziadek wrócił. Po kilku dniach wrócił na wieś. I niestety tutaj się dokonało to, co się miało dokonać pewnie wcześniej, ale się nie dokonało, dokonało się teraz. Ukraińcy siekierami zamordowali mojego dziadka. Świadek tego wydarzenia, inny Ukrainiec, później opowiedział o tym, że mój dziadek został zamordowany. Opowiedział innym ludziom i to później do nas dotarło. Został zamordowany, opowiedział to dość dokładnie, że kazali mu się położyć na ziemi, był pieńek drewniany, położył głowę na tym pieńku i tę głowę mu odcięli. To opowiadał świadek tego wydarzenia. Ta wieść później dotarła do nas. To była jeszcze jedna ofiara tego mordu z 17 na 18 sierpnia. Wtedy nie zamordowali, teraz tego dokonali. No i to był już ten czas jak gdyby schyłku, zbliża się koniec 1944 roku, mordy trwają, my mieszkamy w Panowicach, czekamy co się z nami będzie działo dalej, nie wiadomo, nikt nie potrafił powiedzieć. To był sierpień. Od sierpnia trwa ten kolejny okres lęków, przerażenia, co będzie dalej. Nie ma co jeść, nie ma skąd wziąć żywności. Moja matka tak zdeterminowana, tak straszliwie przyjęta sytuacją, bo jestem głodny, rodzina jest głodna. To co tam mieliśmy do zjedzenia, to starczyło na tydzień, na dwa. Koniec. Sklepów nie ma. Chleba nie ma. Mleka nie ma. Moja matka zdeterminowana, z kilkoma kobietami i z jakimiś mężczyznami postanawia wrócić do Hnilcza. To jest lato, jest zboże. Gdzieś tam, w jakiejś chacie może zostało trochę chleba. I wróciła na tę wieś, i przypomniała sobie, że jak chowaliśmy się wcześniej, bo zanim została wieś napadnięta to, jak mówiłem, ludzie chowali się w różnych miejscach, i moja matka, i ja, i ojciec któregoś dnia schowaliśmy się w zbożu, i matka tam zostawiła pierzynę, którą zabrała ze sobą, żeby się przykryć albo położyć na niej. I teraz, jak chciała wrócić do Hnilcza, przypomniała sobie o tej pierzynie... Poduszka, przepraszam, poduszka. I wróciła, i razem z moim kuzynem Marianem, tym, który był tam później razem ze mną w cerkwi, a później miał być zamordowany, z Marianem, kiedy już znaleźli się w Hnilczu, to pierwsza rzecz, którą mama chciała zrobić, to tę poduszkę zabrać, bo nie mieliśmy poduszki w domu, tam w Podhajcach. Więc poszli po tę poduszkę i to, co było tam niezwykle, przychodzą do tego miejsca, które mama znalazła, patrzą, a na poduszcze leży człowiek. Żywy? Nieżywy? Morderca? Swoj? Nie wiadomo kto. Podeszli, tak jak gdyby obwąchują. Nie słycać oddechu. Jak martwy. Ale nie widać krwi, nic. I matka w tej swojej determinacji, w tej rozpacz, w tym poczuciu kompletnej bezradności, a równocześnie wie, że ta poduszka jest jedyną poduszką, bo nie miała nic innego poza tym, wszystko było spalone, wyciąga tę poduszkę

spod tego człowieka, czekają chwilę, czy on się nie poruszy, obok niej jest Marian, więc na wszelki wypadek, nic się nie dzieje. Powoli, krok po kroku, oddalają się. I ma już zdobyc, ma już poduszkę. No i później tam idzie po wsi od domu do domu, i szuka tam czegoś, znalazła tam gdzieś, nie wiem, ktoś tam chleb dawał, ktoś tam coś jeszcze, nie wiem już dokładnie, jak to było. W każdym razie najważniejsze, że przyniosła trochę zboża, tę poduszkę, coś tam jeszcze i wróciła. Proszę spojrzeć, ile było takiej porażającej determinacji, że dla ratowania egzystencji ludzkiej człowiek gotów był umrzeć. Bo przecież jak szła do tej wsi, to wiedziała, że tam są Ukraińcy przecież. Przecież mogli ją zamordować. Mogli siekierą jej odciąć głowę. A mimo to poszła. Chociaż wiedziała, że to nie ci Ukraińcy nasi mordowali, bo to już ta Ukrainka nasza, Olga Misiurak, powiedziała, że będą mordować inni. Można dodać jeszcze o takim ważnym wydarzeniu, że tego dnia, kiedy miał być napad na Hnilcze, Ukraińcy od swojego otrzymali rozkaz, żeby ukryć się w lesie, i wtedy wszyscy Ukraińcy, którzy byli we wsi, ukryli się w lesie. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby nie byli ofiarami, żeby nie byli przypadkowymi ofiarami tego, co ma się zdarzyć. Jak będą płynęły polskie wioski, to może i przez przypadek zapalić ją jakaś... Jak będzie spalone Hnilcze, to przez przypadek może zapalić się jakiś dom, jakaś chata, jakiś dobytek, jakaś stodoła ukraińska. Tak że Ukraińcy tej nocy byli poza Hnilczem. No i tak się ten dramat nasz w Hnilczu skończył, jesteśmy w Panowicach... jesteśmy w Podhajcach. Zresztą z Panowic ludzie też uciekli do Podhajec z poszczególnych wiosek, które były tam w innych miejscach palone czy mordowane. Uciekali do Podhajec, bo to było najbliższe miasto, chronione jeszcze wtedy przez wojska sowieckie. To jest ten etap. No i właściwie tam żyjemy w tym takim cierpieniu przez kilka miesięcy, mija zima z 1944 na 1945 rok, zbliża się wiosna, ciągle nie jesteśmy pewni tego, żyjemy bardzo ciężko, bez żywności, ciągle żebrzemy, ciągle tam ludzie chodzą po mieście, po ludziach, żebrzą, dostają tu chleba kawałek, tutaj kawałek cukru, tam może coś innego, sól jakaś no i w ten sposób żyjemy przez te...

**Artur Kłus:** A Podhajce są zamieszkane... Jaka jest struktura społeczna wtedy w tym mieście?

**Stanisław Srokowski:** Tam mieszkają ci Polacy, którzy tam mieszkali przez lata całe, no i mieszkają oczywiście Ukraińcy też. Żydów już nie ma, bo Żydzi zostają wymordowani. Tak że struktura wyglądała w ten sposób, że tam byli ci Polacy, co po lasach mieszkali, co do tej pory, i ci Ukraińcy, którzy... W większości Polacy tam byli, tak że ci Polacy, którzy tam mieli swoje jakieś zasoby, jeszcze jakieś tam zapasy, jakieś spiżarnie, no to ratowali, dawali tam, ile można było.

**Artur Kłus:** Ale już w Podhajcach kwestia zmroku i nocy? Już nie są takie grozy?

**Stanisław Srokowski:** Tak. Oczywiście, strach nie odszedł, nie został automatycznie zlikwidowany, bo strach to nie było coś zewnętrznego, też był strach wewnątrz człowieka, w naszych umysłach, w naszych głowach. Ten lęk był tak mocny, że on już tam towarzyszył nie tylko teraz, ale będzie towarzyszył w dalszej drodze. Podhajce były chronione przez wojska sowieckie, rosyjskie. Tak że pod tym względem byliśmy bezpieczni, że nie napadną na nas. Z innych dokumentów, także ukraińskich, a także rosyjskich, z jakich się później dowiedziałem, pisząc swoje książki, dowiedziałem się, że Ukraińcy wiedzieli, jak duży oddział rosyjski stacjonuje w Podhajcach i już przygotowywali się do napadu na Podhajce. Dokumenty ukraińskie wyraźnie wskazują, że te przygotowania były realne i groźne, i już nawet podają tam liczbę kilku tysięcy Ukraińców gotowych do napadu na Podhajce. Ale nie dokonano się tego

napadu, ponieważ siły rosyjskie były dość mocne i tam prawdopodobnie wzmocnione zostały oddziały sowieckie, i do mordów nie doszło, a poza tym Polacy powoli zaczęli już... Przyszły te umowy, tak zwane umowy, czy zasady, regulacje, które doprowadziły do tego, że Polacy opuszczają polską swoją ziemię, i w sierpniu 1945 roku, dokładnie w sierpniu, każą nam opuścić nasze pomieszczenia, nasze kamienice, nasze miejsca, i udajemy się na dworzec kolejowy i czekamy na pociąg. Można dodać, zarówno w naszym przypadku, jak i w przypadku innych Polaków, którzy przeżyli tę gehennę, ten straszny czas, że czasami czekało się na ten pociąg całą dobę, czasami czekało się na ten pociąg kilka dni, a czasami czekało się kilka tygodni. Tak że tu mamy kolejny dramat z losem polskim. To nie było tak, że myśmy przyszli, a tutaj piękne wagony, gotowe, wsiadajcie, usiądziecie sobie, możecie pospać, będziecie już spokojni, nic wam nie grozi, jedziecie na ziemię odzyskane, jak mówiono wtedy, na ziemię zachodnie. Tak nie było. Czekali. Wprawdzie szczęściem było to, że to był sierpień, a nie zima, ale były też takie... ponieważ w różnych okresach ludzie wyjeżdżali, były okresy, kiedy ludzie wyjeżdżali w zimie, to wtedy trzeba było palić ogniska na dworcu, żeby jakoś się ogrzać. W każdym razie tego sierpnia wreszcie ten pociąg przytoczył się, to były bydlęce wagony, to też warto dodać, że to nie były piękne pociągi dla ludzi podróżujących i zwiedzających kraj. To były węglarki, bydlęce wagony, niektóre z nich bez dachu, a więc wiadomo, co teraz będzie w drodze. No więc siadamy tam, schodzimy do tych wagonów i ci, co mieli krowy, biorą krowy, ci, co mieli konie, biorą konie. My mieliśmy kozę, o, to jest bardzo ważne, mieliśmy kozę, która dawała mleko, więc tutaj jeszcze byliśmy ratowani przez to mleko w tym czasie, to ważne, że przypomniałem sobie ten epizod. No i wchodzimy do tych wagonów, tobołki, jakieś tam skrzynie, jakieś paczki, „nędza z biedą z Polski idą”, no straszne to wszystko było, ale przynajmniej nadzieja, że już nas tutaj to nieszczęście nie dotknie, bo wyjeżdżamy tam, gdzie będzie spokój i jako tako będziemy żyli. No ale idziemy, wsiadamy do tych pociągów, no i wreszcie ten pociąg jedzie. Zdawało się, że ten pociąg dojedzie w ciągu kilkunastu godzin na to nowe miejsce, ale zaczyna się nowy strach. Jedziemy w nieznanne miejsce, nie wiemy, co to jest. Mówi się, że jedziemy tam, gdzie byli Niemcy. Boże, nie dość, że byli Niemcy tutaj, w Polsce, niedawno mordowali i zabijali Polaków, to my tam jedziemy. Co to będzie? A co z tymi Niemcami? Będziemy razem, osobno? Było mnóstwo pytań. Nie wiedzieliśmy, co zrobimy ze sobą, z tymi, którzy tam będą. Jak to, w jednej chacie, w jednym miejscu? Pytań mnóstwo, nowe kłopoty, nowe problemy. Tak że to nie było tak, że ci ludzie wsiadają do pociągu i są szczęśliwi, że już odjeżdżają. W głowie zaczynają się rodzić straszliwe pytania, co dalej. Czy na zawsze tam jedziemy? Czy na krótko? Na jak długo? A może wrócimy tutaj? Bo to jest nasza ziemia, bo tam zostawiliśmy coś. Podróż z Panowic do nowego miejsca, o tym miejscu za chwilę powiem, trwała sześć tygodni. Było tak, że jak pociąg jechał, zatrzymywał się w pewnym momencie, a zatrzymywał się dlatego, że trzeba było przepuścić wojskowe pociągi, które jechały z żołnierzami, z uzbrojeniem, i czasami takie pociągi jechały przez kilkanaście godzin, przez kilka godzin, pociąg musiał stać. Czasami stał dwa dni, czasami trzy dni. Czasami brakowało węgla w lokomotywie. Czasami coś tam się zepsuło. I tak jedziemy, stajemy. Ale czasami jest tak, że maszynista nie jedzie bez przyczyny jak gdyby. I wtedy chłopci zaczynają się domyślać, że temu maszyniście coś trzeba dać. Zaczynają chodzić jeden od drugiego i tam zbierają jakąś datkę. Ten ma jakieś grosz, ten ma pół litra, ten ma coś. Idą do tego maszynisty, dają mu i on rusza dalej. I takie były przypadki.

**Artur Kłus:** Ale wy nie wiecie, ile będziecie jechać?

**Stanisław Srokowski:** My nie wiemy.

**Artur Kłus:** Jak jest z żywnością na przykład?

**Stanisław Srokowski:** No właśnie mówię, to, co zabraliśmy z Podhajec, tam jakieś zapasy wzięliśmy, to, co mieliśmy. A mieliśmy niedużo. Ale coś tam mieliśmy. No bo tam byli Polacy, którzy nam pomagali. No była nędza, po prostu nędza. Ludzie puchli z głodu jeszcze wtedy. Głód był straszny. Bo rzeczywiście wynędniali byliśmy. Moja matka mówiła, że jak dotarliśmy na miejsce, to ja byłem taki chudy, że moja matka myślała, że ja umrę po tej podróży. Byłem wychłodzony, blady, kaszlący, zapalenia płuc dostałem, mimo że to było lato. Byłem wyczerpany, przygnębiony, zdruzgotany. A inni to samo. Przecież cały transport to były setki, tysiące ludzi, biorąc pod uwagę... W każdym razie nasz transport jechał w stronę Katowic, stamtąd przez Kostrzyn w stronę Wrocławia i po drodze z różnych powodów albo z przyczyn obiektywnych, bo były takie zalecenia, że tam poszczególne wagony miały się wyludnić w pewnym miejscu. Polacy wysiadali. To jedni wysiedli gdzieś tam w Kędzierzynie, gdzieś tam jedni wysiedli wcześniej jeszcze, a mój wagon ciągle jechał, jechał na północ, w stronę Szczecina. I ciągle nie było dla nas miejsca, gdzie wysiądziemy. Mijają kolejne dni, kolejne noce, kolejne cierpienie, kolejny głód, aż dojeżdżamy wreszcie do województwa szczecińskiego, ówczesnego, i zatrzymujemy się w takiej miejscowości, w której szylt brzmi Bärwalde, po niemiecku, Bärwalde, nazwa niemiecka, nic to nikomu nie mówiło. To było takie miasteczko w województwie szczecińskim, później przemianowane na Mieszkowice. Bärwalde-Mieszkowice. Ale wtedy to było Bärwalde jeszcze. No jesteśmy na stacji, każą nam się tutaj wyładować, no ale mężczyźni wychodzą z tych wagonów, idą do tego miasta, takie nieduże miasteczko, i są przerażeni, jak to, będziemy w mieście mieszkać? Ludzie ze wsi, chłopci. Nie widzą tu dla siebie miejsca. I mówią, że nie, że tutaj nie zamieszkamy. Szukajcie dla nas innego miejsca. Wsiadają z powrotem do pociągu, pociąg rusza dalej i ci, którzy przywozili nas, nie znaleźli takiego miejsca. Wracają z powrotem do tego Bärwalde i mówią: „Dobrze, nie będziecie tutaj, w tym mieście, my znajdziemy dla was inne siedliska tam dalej, poza miastem”. A tam dalej były takie poniemieckie dworki, takie, które my nazywaliśmy pałacami, bo w porównaniu z takimi chatami wiejskimi, chłopskimi to były rzeczywiście pałace. Lub wioski. Wioski, które znajdują się od Mieszkowic w oddaleniu pewnym. I jest taka wieś Zielin, później nazywana Zielin, po polsku, a po drodze jest kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt, bo tak z różnej perspektywy, tych takich dworków. I wiozą nas... Znaczący my jedziemy, tam ktoś ma konia, jak mówię, ktoś ma tam jakąś krowę i to wszystko jedzie, jedzie, jedzie jak się da, szukamy swoich miejsc. Moja rodzina, czyli moja mama, mój ojciec, ja, ciotka Stasia i Marian, i jego rodzina, i jeszcze kilka rodzin, jedziemy i po drodze zatrzymujemy się, wskazują nam ten dworek, ten taki pałac, na wzgórzu, i mówią: „Tu będziecie mieszkać”. Jeszcze jest jedno ważne związane ze strachem. Po drodze mówimy tym, którzy nas prowadzą, tym organizatorom tego wyjazdu, mówimy, że rodzice, starsi, mężczyźni i kobiety też, dajcie nam takie miejsce, żebyśmy byli razem, żebyśmy byli blisko siebie. Wiadomo, dlaczego. Strach, tamten strach ciągle żyje. Chcemy być blisko. No to znaleźli dla nas ten pałacyk i mówią, tutaj. O, dobrze, to już będziemy tutaj. Ziemia jest? Jest. Pole jest, zagroda jest, stajnia jest, stodoła jest. Dobrze, będziemy tutaj. I osiedlamy się w tym pałacyku.

**Artur Kłus:** Chciałbym dopytać, bo mówił pan o tym paleniu żywcem. A czy w rodzinie był przypadek, gdzie kogoś z rodziny ta tragedia właśnie spotkała?

**Stanisław Srokowski:** Nie, w mojej rodzinie takiego przypadku, żeby palono żywcem, nie było. Ten taki najbardziej bolesny przypadek w mojej rodzinie to był ten dziadek Ignacy, który został zarąbany siekierami, i był przypadek mojej

ciotki Elzy, która była przywiązana do sznura, pętla zarzucona na szyi, i banderowiec wsiadł na konia, i ciągnął ją za sobą. To była taka śmierć na raty. To taki drugi przypadek, który dotknął moją rodzinę. W mojej rodzinie, tak jak obliczyłem później, w tej bliżej, w tej dalszej, zostało zamordowanych... i w Hnilczu, ale także... bo my mieliśmy rodzinę rozległą, w różnych wioskach okolicznych, w sumie zostało zamordowanych siedemnaście osób według moich obliczeń.

**Artur Kłus:** Też jedna taka historia, ja miałem wrażenie, że pan mówił to na zasadzie zasłyszanej historii, jak pan wspominał często, że ciągle ktoś przychodził do mieszkania i te historie wielokrotnie były opowiadane, była historia pewnej rodziny, która siedziała przy stole, i tam coś się wydarzyło. To może posłużyć za jakiś przykład ewentualnie czy takim przykładem pokazującym brutalność tych mordów jest wskazanie, przybliżenie bardziej historii ojca i co on zobaczył. To są moje sugestie, żeby właśnie też troszeczkę powiedzieć wprost, do jakich brutalnych metod sięgali Ukraińcy.

**Stanisław Srokowski:** To bezpośrednie doświadczenie, które pokazuje, jak byli mordowani Polacy, to było to najbardziej dobitne i najbardziej koszmarnie, doświadczenie mojego ojca, który widział z góry, jak byli mordowani jego koledzy, jego żołnierze. A więc wydłubywano oczy czy odcinano języki, bo to trwało kilka godzin, ten mord w stodole. Ale jeszcze wcześniej, ten w ogóle początek mordów, kiedy już wiedzieliśmy, przy pomocy jakich metod Ukraińcy dokonują aktów mordowania, zabijania i znęcania się nad Polakami, to był Sławentyn i to były także inne wioski, z których wieści dochodziły do nas pośrednio, bo ani ja w Sławentynie nie byłem, ani moja matka, ani ojciec, ale ten Sławentyn widzieliśmy w swoich oczach, dlatego że przekazano nam bardzo dokładną relację. Bo nie tylko ta jedna pani, która ocalała, ale później okazało się, że parę innych osób ocalało, którzy opowiadali, a tutaj było tak, a tutaj było tak, a tutaj było tak. I ten obraz mordów, metod, technologii mordowania jak gdyby, to była taka maszynka do mordowania, czyli z góry było przygotowane. Nawiasem mówiąc, tutaj warto wspomnieć o tym, że ta ideologia ukraińskiego nazizmu, bo to chyba tak trzeba nazwać, czy faszystwu ukraińskiego, wynikała z takiego jak gdyby posłannictwa, Dmytro Doncow, był taki ideolog ukraiński, który napisał książkę *Nacjonalizm*, i on tam mówi, że przy pomocy nienawiści, on mówi wprost, przy pomocy nienawiści trzeba wyzwalać w nas, w naszych bojownikach, wielkie emocje, wielkie takie gromadzić siły, takie potężne siły, taką emocję, taki potężny ładunek musi być w nas, nie rozum, tutaj. My musimy, Ukraińcy, przy pomocy nienawiści, tych uczuć, które są wielkie, ostre, mocne, groźne, tylko przy pomocy tego stworzymy wielką Ukrainę, bo nie przy pomocy jakiejś kalkulacji myślowej, tylko jak bojowcy idą na bój, to to muszą mieć w sobie. I to później oczywiście już funkcjonowało w postaci praktycznej. Ci bojownicy szli, między innymi śpiewając „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty”, czy mając na myśli „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty”, w którym to dekalogu punkt siódmy albo ósmy mówi, że będziesz przy pomocy nienawiści traktować swojego przeciwnika czy sąsiada. Dlatego też jak popatrzymy na historię zbrodni, na historię ludobójstwa ukraińskiego, no to nieuchronnie jawi się pytanie, czy to ludzie sami mieli w sobie już taką złowrogą siłę i moc do mordowania, czy to było zapłodnione przez pewne myśli, pewne idee, pewne przedsięwzięcie takie ideologiczne. Więc trzeba tutaj powiedzieć, że zarówno ideologia ukraińska, jak i cerkiew ukraińska, ale też historia dostarczała tutaj... chociażby Chmielnicki i historia tego ludu, dostarczała przykładów, przy pomocy jakich sposobów, technik, technologii dokonuje się zemsty, dokonuje się mordów, dokonuje się po prostu zabijania. I nic dziwnego, że te pierwsze zbrodnie, te pierwsze mordy w Sławentynie, czy w Szumlanach, czy w innych miejscowościach, to one właśnie miały ten wymiar, że to musiało być od razu przerażające. To musiało być tak straszne, żeby Polacy wiedzieli, że tu nie ma „Boże, zmiłuj się”, że tu nie będzie litości, że tutaj nie będzie tak, że my zastrzelimy i idziemy dalej, nie. My będziemy męczyć, my



będziemy dźgać, my będziemy wydfubywać oczy, my będziemy wyjmować wnętrzności z was. A jak kobieta będzie miała dziecko w brzuchu, to będziemy to dziecko wyjmować i będziemy je zabijać na waszych oczach. To był w kalkulowane jak gdyby w ideologię ukraińskiego nazizmu, ukraińskiego faszyzmu, i to było już od samego początku. To nie było tak, że na Wołyniu to się stało. Bo Wołyń, jak mówię, to był 1943 rok. A to było już w 1939 roku. Na przykład w Szumlanach, w tej drugiej wsi, która tego samego dnia była... gdzie były polskie ofiary mordów, to wykopywano trupy na cmentarzu niedawno zmarłych Polaków, bo tam byli pochowani w dobrych garniturach i w dobrych butach. Więc wykopywano trupy i zdejmowano z nich ubrania. Tego 17 czy 18 sierpnia 1939 roku.

**Artur Kłus:** Września.

**Stanisław Srokowski:** Września, z 17 na 18 września. Tak że tego typu zbrodnia musiała mieć taki ładunek emocjonalny, takie jak gdyby zaplecze w postaci idei, która jest nasiąknięta już krwią w samej swojej istocie. Czyli kiedy pada słowo „mordować”, to Ukrainiec już wiedział, że on nie pójdzie i nie zabije, tylko ma się znęcać. Czyli ma wydfubywać oczy, jedno po drugim. Czyli tak jak ze Stasiem Rybickim, przez siedem czy osiem godzin związać człowieka i znęcać się nad nim. Jakie niewyobrażalne cierpienie musiał znieść ten chłopak osiemnastoletni. A takich osiemnastoletnich chłopaków to były tysiące, setki tysięcy Polaków, którzy w ten sposób byli wymordowani. I te ponad 200 tysięcy Polaków wymordowanych na Kresach, chociaż to nie są ostateczne dane, bo tych dołów śmierci tysiące, doły śmierci, bo dodajmy jeszcze, że Polacy nie byli chowani, że nie byli grzebani w sposób chrześcijański, że nie było pochówku, że nie było księdza, że nie było mszy świętej, że nie było ceremonii, że nie było modlitwy, że nie było krzyża na tym grobie, że nie było grobu. Że były doły śmierci. I to było wykalkulowane już w umysłach tych zbrodniarzy. Że nie będziecie szanować śmierci, tylko będziecie się znęcać nad ludźmi, będziecie tutaj upadlać, będziecie upokarzać naród polski, polską jak gdyby taką świadomość narodową, że jesteście nikim, jesteście śmieciem. Nie tylko was wymordujemy, ale będziecie jak psy. Będą was ciągać i będą was rozgryzać dzikie zwierzęta. Tysiące dołów śmierci. Tak że to było wkomponowane jak gdyby w ideologię ukraińskiego nazizmu, ja to nazywam faszyzmem, ponieważ cała ta banda ukraińskich zbrodniarzy to byli agenci niemieccy. Bandera, Szuchewycz, Klaczkiewski, Lebit, ta cała czołówka, przywódcy organizacji ukraińskich nacjonalistów czy Ukraińskiej Powstańczej Armii [UPA]. Czy Szuchewycz, naczelny wódz Ukraińskiej Powstańczej Armii, czy Klaczkiewski, oddział na Wołyniu, to byli agenci niemieckiej bezpieki. I przepraszam, tylko jeszcze dodam, to było ciekawe zjawisko takie socjologiczne, że najpierw oni byli powiązani z Sowietami, w momencie, kiedy Sowietci napadli na Polskę w 1939 roku, to usłużnie usługiwali natychmiast jako administracja, jako policja sowiecka w polskich wsiach, czy w miasteczkach, czy w miastach, a później, kiedy Niemcy przyszli, to z entuzjazmem oddawali się temu nowemu najeźdźcy. Trzeba powiedzieć, że na przykład cały kler greckokatolicki służył najeźdźcom niemieckim, odprawiając uroczystości kościelne, składając wolty [wota]. Arcybiskup Szeptycki, przywódca kościoła greckokatolickiego we Lwowie, kiedy Hitler napadł na Polskę, to pisał do Hitlera poddańcze listy. A kiedy Stalin zaczął zwyciężać, to pisał listy poddańcze do Stalina. Więc tak to było, służymy jednym, tym silnym, którzy w tej chwili są i którym powinniśmy podlizać się, żeby uzyskać jakieś dla nas ważne i potrzebne, niezbędnne fakty. A jeżeli drugi, to temu drugiemu będziemy podlegać.